

Nauki Don Juana

• CARLOS •
CASTANEDA

Nauki Don Juana

vis-à-vis
etiuda

Kraków 2022

Tytuł oryginału: *THE TEACHINGS OF DON JUAN*

Copyright © 1968 Regents of the University of California

Copyright © Renewed 1996 by Carlos Castaneda

PRZEDMOWA

Ta książka jest zarazem etnografią i alegorią.

Carlos Castaneda – pod opieką don Juana – prowadzi nas poprzez ów moment zmierzchu, poprzez ową szczelinę we wszechświecie dzielącą światło dnia od mroku, w świat nie tylko inny od naszego, lecz wyposażony w całkowicie odmienną strukturę rzeczywistości. W dotarciu do niej pomagają mu *mescalito*, *yerba del diablo* i *humito*, czyli peyotl, bielun i grzyby. Nie jest to jednak opowieść wyłącznie o doznanych halucynacjach, gdyż podróżnikowi przewodzi posługujący się subtelnymi manipulacjami don Juan, on też swoimi interpretacjami nadaje sens wydarzeniom, których mamy sposobność doświadczyć za pośrednictwem ucznia owego czarownika.

Antropologia dowiodła nam, że w różnych miejscach świat bywa różnie definiowany. Nie chodzi tylko o to, że ludzie mają różne obyczaje, wierzą w różnych bogów i różnie wyobrażają sobie swój los pośmiertny. Rzecz raczej w tym, że światy różnych ludów przybierają odmienne kształty. Różnice ujawniają się na poziomie samych przesłanek metafizycznych: przestrzeń nie odpowiada geometrii euklidesowej, czas nie tworzy płynącego w jednym kierunku kontinuum, związki przyczynowo-skutkowe nie odpowiadają logice arystotelesowskiej, człowieka nie odróżnia się od tego, co nie jest człowiekiem, a życia od śmierci, jak dzieje się to w naszym świecie. Dowiadujemy się czegoś na temat kształtu owych innych światów z logiki miejscowych języków oraz z utrwalonych przez antropologów mitów i ceremoniałów. Za sprawą don Juana zamigotał przed nami świat czarownika z plemienia Yaqui, a ponieważ oglądamy ów świat pod działaniem substancji halucynogennych, realność naszego poznania różni się całkowicie od wspomnianych innych jego źródeł. Na tym polega szczególnie wartość niniejszej książki.

Castaneda twierdzi słusznie, że świat ów, pomimo wszelkich różnic natury percepcyjnej, ma własną logikę wewnętrzną. Podjął próbę jej wyjaśnienia niejako od wewnątrz – opierając się na własnych, bogatych i bardzo osobistych przeżyciach z okresu, gdy pozostawał pod opieką don Juana – zamiast analizować ją w kategoriach naszej logiki. Jeśli przedsięwzięcie to nie zakończyło się całkowitym powodzeniem, to tłumaczyć to trzeba nie tyle ograniczeniem natury osobistej, ile ograniczeniami, jakie na percepcję nakładają nasza własna kultura i nasz język, mimo to udaje mu się przerzucić most pomiędzy światem czarownika z plemienia Yaqui a naszym, między rzeczywistością zwyczajną a niezwykłą.

Kluczowe znaczenie wejścia w światy inne od naszego – a zatem kluczowe znaczenie samej antropologii – polega na tym, że nasz własny świat jest również pewnym konstruktem kulturowym. Toteż doświadczając rzeczywistości innych światów, widzimy, czym jest nasz własny świat, dzięki czemu możemy na mgnięcie oka ujrzeć świat rzeczywisty, czyli ten znajdujący się pomiędzy naszym konstruktem kulturowym a owymi innymi światami. Dlatego zarówno alegoria, jak i etnografia. Mądrość i poezja don Juana oraz rzetelny kunszt i poezja jego skryby stwarzają nam możliwość ujrzania zarówno samych siebie, jak i rzeczywistości. I tak jak w każdej prawdziwej alegorii widzimy tyle, ile umiemy dostrzec, a to, co widzimy, nie wymaga egzegezy.

Carlos Castaneda zainicjował swoje rozmowy z don Juanem jeszcze jako student antropologii Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Winniśmy mu wdzięczność za cierpliwość, odwagę i przenikliwość, z jakimi podejmuje wyzwanie w postaci podwójnego terminowania i relacjonuje nam szczegółowo swoje doświadczenia. W książce tej demonstruje on podstawową umiejętność dobrego etnografa: zdolność wejścia w obcy świat. Uważam, że odnalazł ścieżkę obdarzoną sercem.

Walter Goldschmidt

Para mí sólo recorrer los caminos que tienen corazón, cualquier camino que tenga corazón. Por ahí yo recorro, y la única prueba que vale es atravesar todo su largo. Y por ahí yo recorro mirando, mirando, sin aliento.

(Ja wędruję tylko po ścieżkach obdarzonych sercem, po ścieżkach, które mogą mieć serce. Po nich wędruję, bo przemierzyć je do końca to jedyne wyzwanie warte podjęcia. Oto, którędy wędruję i patrzę, patrzę z zapartym tchem).

Don Juan

(...) można spróbować tylko tego, żeby ustalić początek i kierunek nigdy niekończącej się drogi. Pretensje do jakiegokolwiek wyczerpującego ujęcia byłyby co najmniej łudzeniem samego siebie. Uczeń może osiągnąć tu doskonałość jedynie w tym subiektywnym znaczeniu, że przekazuje wszystko, co tylko zdołał ujrzeć.

Georg Simmel

WPROWADZENIE

Będąc studentem antropologii na Uniwersytecie Kalifornijskim w Los Angeles, odbyłem latem 1960 roku kilka wypraw na Południowy Zachód w celu zebrania informacji o roślinach leczniczych używanych przez Indian zamieszkujących te obszary. Wydarzenia tu przeze mnie opisywane rozpoczęły się podczas jednej z tych wypraw. Czekałem w nadgranicznym miasteczku na autobus linii „Greyhound”, rozmawiając z kolegą, który był moim przewodnikiem i pomocnikiem w prowadzonych przeze mnie badaniach. Raptem pochylił się on w moją stronę i powiedział szeptem, że białowłosey indiański starzec siedzący przed oknem jest znakomitym znawcą roślin, przede wszystkim – pejotlu. Poprosiłem kolegę, żeby poznał mnie z Indianinem.

Kolega pozdrowił go, a potem podszedł do niego, by wymienić uścisk dłoni. Rozmawiali ze sobą dłuższą chwilę, po czym kolega dał mi znak, bym do nich podszedł, zaraz jednak pozostawił mnie sam na sam ze starcem, nie zadawszy sobie nawet trudu, żeby nas ze sobą poznać. Indianin bynajmniej nie wyglądał na zakłopotanego. Przedstawiłem się, on zaś powiedział, że nazywa się Juan, i spytał, czym może mi służyć. Zwracając się do mnie, używał hiszpańskich form grzecznościowych. Z mojej inicjatywy wymieniliśmy uścisk dłoni, po czym na pewien czas zamilkliśmy. W milczeniu tym nie było napięcia, tylko naturalny i odprężony spokój. Na śniadej twarzy i karku Indianina widać było zmarszczki zdradzające wiek, uderzyło mnie jednak, że ciało ma jędrne i muskularne.

Powiedziałem mu, że chciałbym uzyskać informacje o roślinach leczniczych. Mimo że byłem niemal zupełnym ignorantem w sprawach pejotlu, zacząłem udawać, że wiem o nim mnóstwo, a nawet dałem mu do zrozumienia, że mógłby skorzystać na rozmowie ze mną. Nie przerywał mojej paplaniny, skinął tylko powo-

li głową i spojrzał na mnie bez słowa. Unikałem jego wzroku i skończyło się na tym, że zapadła pomiędzy nami martwa cisza. Zdawało mi się, że upłynęło mnóstwo czasu, nim wreszcie don Juan powstał z miejsca i wyrztał przez okno. Nadjechał jego autobus. Pożegnał się ze mną i wyszedł z poczekalni.

Byłem podenerwowany tym, że plotłem bzdury i że przejrzały mnie na wylot jego niesamowite oczy. Kolega, który właśnie wrócił, próbował mnie pocieszyć, widząc, że nie zdołałem się niczego dowiedzieć od don Juana. Tłumaczył, że ów starzec często milczy i zachowuje się z rezerwą, ale niepokoju, jaki wywołało we mnie owo pierwsze spotkanie, nie dało się tak łatwo usunąć.

Postanowiłem ustalić miejsce pobytu don Juana, później zaś odwiedziłem go kilkakrotnie. Za każdym razem usiłowałem go nakłonić do poruszenia tematu pejotlu, ale bez skutku. Zaprzyjaźniliśmy się jednak bardzo, moje badania naukowe poszły w kąt, a w każdym razie skierowane zostały na tory nie mające nic wspólnego z moimi pierwotnymi zamierzeniami.

Kolega, który poznał mnie z don Juanem, powiedział mi później, że ów starzec nie pochodzi z Arizony, gdzie się spotkaliśmy, lecz należy do Indian z plemienia Yaqui zamieszkujących okolice Sonory w Meksyku.

Początkowo uznałem don Juana za człowieka dość szczególnego rodzaju, doskonale znającego się na pejotlu i mówiącego nieźle po hiszpańsku. Ale ludzie, którzy go znali, uważali, że posiada on jakąś „tajemną wiedzę” i że jest *brujo*. Ten hiszpański wyraz oznacza czarownika, znachora, szamana. Używa się go zasadniczo na oznaczenie osoby wyposażonej w niezwykle, zazwyczaj złe, moce.

Upłynął cały rok naszej znajomości, nim zaskarbiłem sobie zaufanie don Juana. Pewnego dnia oświadczył mi, że rozporządza pewną wiedzą przekazaną mu przez nauczyciela, którego nazwał swoim „dobroczyńcą”; nauczyciel ów kierował nim w ciągu swego rodzaju terminowania. Don Juan zaś postanowił mnie wybrać na swego ucznia, ale ostrzegł, że będę musiał głęboko zaangażować się w naukę, która potrwa długo i będzie uciążliwa.

Mówiąc o swoim nauczycielu, don Juan użył słowa *diablero*. Dowiedziałem się później, że określenia tego używają tylko Indianie z Sonory. Odnosi się ono do człowieka uprawiającego czarno-

księstwo, który potrafi zamieniać się w zwierzęta: w ptaka, psa, kota lub jakiegokolwiek inne stworzenie. Podczas jednej z mych wizyt w Sonorze zdarzyła mi się rzecz niezwykła, dobrze ilustrująca stosunek Indian do *diablos*. Jechałem nocą samochodem w towarzystwie dwóch zaprzyjaźnionych Indian; w pewnej chwili ujrzałem zwierzę przypominające wyglądem psa, które przechodziło przez szosę. Jeden z Indian powiedział, że to nie pies, tylko wielki kojot. Zwolniłem i zjechałem na pobocze, żeby się lepiej przyjrzeć zwierzęciu. Zatrzymało się jeszcze na kilka sekund w świetle przednich reflektorów, po czym pobiegło w głąb chaparralu. Był to z pewnością kojot, ale dwa razy większy niż normalnie. Rozmawiający z wielkim przejęciem Indianie stwierdzili zgodnie, że było to bardzo niezwykle zwierzę, a jeden z nich zasugerował, że mógł to być *diablero*. Postanowiłem wykorzystać relację o tym zdarzeniu do badania opinii zamieszkujących te obszary Indian na temat istnienia *diablos*. Rozmawiałem z wieloma ludźmi, którym opowiadałem tę historię, a potem zadawałem pytania. Poniższe trzy rozmowy stanowią zapis ich reakcji.

– Myślisz, Choy, że to był kojot? – zapytałem młodego mężczyznę, gdy wysłuchał mojej opowieści.

– Kto wie? To musiał być pies, bo zwierzę było za duże jak na kojota.

– A czy to nie mógł być *diablero*?

– Bzdura. Nie ma żadnych *diablos*.

– Czemu tak mówisz, Choy?

– Ludzie mają bujną wyobraźnię. Założę się, że gdybyś złapał zwierzę, przekonałbyś się, że to pies. Miałem kiedyś coś do załatwienia w innym miasteczku. Wstałem przed świtem i osiodłałem konia. Wyjeżdżając z osady, ujrzałem na drodze coś jakby cień wielkiego zwierzęcia. Koń stanął dęba i zrzucił mnie na ziemię. Ja też miałem stracha, ale okazało się, że to była kobieta idąca do miasteczka.

– To znaczy, Choy, że nie wierzysz w istnienie *diablos*?

– *Diablos*! A co to takiego ten twój *diablero*?

– Nie wiem, Choy. Wtedy w nocy jechałem razem z Manuelem, który powiedział mi, że to mógł być *diablero*. A może ty mi powiesz, co to takiego?

– Mówią, że *diablero* to *brujo*, który może się zmieniać, w co tylko zechce. Ale wszyscy wiedzą, że to bzdury. Tutejsi starcy wciąż gadają o *diableros*, ale wśród nas młodych nie znajdziesz takich bazarzy.

– Jak pani myśli, doña Luz, co to było za zwierzę? – spytałem kobietę w średnim wieku.

– Na pewno to wie jeden Pan Bóg, ale to chyba nie był kojot. Czasami wydaje się, że to kojot, ale to co innego. Ten kojot biegł czy się posilał?

– Właściwie to stał w miejscu, ale na początku chyba coś jadł.

– A jesteś pewien, że nie niósł czegoś w pysku?

– Może, ale czy to mogłoby mieć znaczenie?

– Mogłoby. Jeżeli niósł coś w paszczy, to nie był to kojot.

– Więc co?

– Mężczyzna lub kobieta.

– Jak się nazywają tacy ludzie, doña Luz?

Nie odpowiedziała. Próbowałem jeszcze coś od niej wydobyć, ale bez powodzenia. Wreszcie odpowiedziała, że nie wie. Na pytanie, czy takich ludzi nazywa się *diableros*, odrzekła, że tak brzmi jedna z nazw, jakimi się ich określa.

– Pani zna jakiegoś *diablero*? – spytałem wówczas.

– Znałam jedną kobietę – odpowiedziała. – Została zabita. Byłam wtedy małą dziewczynką. Mówiono, że ta kobieta zamieniała się w sukę. Pewnej nocy do domu, w którym mieszkał biały człowiek, zakradł się pies, żeby ukraść trochę sera. Biały zabił psa strzałem z rewolweru, a dokładnie w tej samej chwili, kiedy go zastrzelił, ta kobieta zmarła w swojej chacie. Jej rodzina poszła do białego człowieka i zażądała odszkodowania. Biały człowiek słono zapłacił za to, że ją zabił.

– Jak mogli żądać odszkodowania, skoro biały zabił psa i nikogo więcej?

– Mówili, że biały dobrze wiedział, że to nie był pies, bo byli przy tym inni ludzie, którzy widzieli, jak pies stanął na tylnych łapach jak człowiek i przednimi sięgnął po ser na półce zawieszanej u powały. Ci ludzie czatowali na złodzieja, bo ktoś kradł noc

w noc ser z domu tego białego. A więc on zabił złodzieja, wiedząc, że to nie pies.

– A czy dziś są jeszcze na świecie jacyś *diableros*, doña Luz?

– Te rzeczy są bardzo tajemnicze. Powiadają, że *diableros* już nie ma, ale ja w to nie wierzę, bo ktoś z rodziny *diablero* musi zostać jego uczniem. *Diableros* rządzą się swoimi prawami, a jedno z nich mówi, że *diablero* musi przekazać swe tajemnice komuś z rodziny.

– Co to było za zwierzę, Genaro? – spytałem bardzo starego mężczyznę.

– Pies z któregoś ranczo w okolicy, bo co by innego?

– To mógł być *diablero*!

– *Diablero*? Zwariowałeś! Nie ma żadnych *diableros*.

– Chcesz powiedzieć, że dziś ich nie ma czy że w ogóle nigdy nie istnieli?

– Kiedyś istnieli, owszem. To żadna tajemnica. Wszyscy o tym wiedzą. Ale ludzie się ich bali i kazali ich wszystkich pozabijać.

– Kto ich pozabijał, Genaro?

– Wszyscy członkowie plemienia. Ostatni *diablero*, o jakim słyszałem, nazywał się S^{xxxx}. Za pomocą swoich czarów zabił dziesiątki, a może nawet setki ludzi. Mielśmy tego dość, ludzie skrzyknęli się i pewnej nocy urządzili na niego zasadzkę, a schwytanego spalili żywcem.

– To było dawno temu, Genaro?

– W 1942.

– Widziałeś to na własne oczy?

– Nie, ale ludzie do dziś o tym gadają. Mówią, że nie została nawet garstka popiołu, choć stos był ze świeżego drewna. Została tylko wielka kałuża tłustej mazi.

Mimo że don Juan zaliczył swego dobroczyńcę do *diableros*, nie wymienił nigdy miejsca, gdzie pobierał nauki, ani nie podał tożsamości swego nauczyciela. W istocie don Juan ujawnił bardzo niewiele szczegółów dotyczących swego życia prywatnego. Powiedział jedynie, że urodził się na Południowym Zachodzie w 1891 roku, prawie całe życie spędził w Meksyku, w 1900 roku władze

meksykańskie zesłały jego rodzinę wraz z tysiącami innych Indian z Sonory do środkowego Meksyku, tam też, a także w południowym Meksyku, mieszkał do 1940 roku. Don Juan sporo podróżował, a zatem jego wiedza mogła być produktem wielu wpływów. Mimo że uważał się za Indianina z Sonory, miałem wątpliwości, czy należy sytuować jego wiedzę wyłącznie w kontekście kultury Indian sonoryjskich. Nie zamierzam tu jednak konstruować precyzyjnej definicji kulturowego środowiska don Juana.

Moje terminowanie u don Juana rozpoczęło się w czerwcu 1961 roku. Przedtem widywałem go kilkakrotnie, zawsze jednak jako antropolog obserwator. Na owym wczesnym etapie naszej znajomości kryłem się z tym, że notuję treść naszych rozmów. Później, mając zaufanie do swojej pamięci, odtwarzałem całą rozmowę ze wszystkimi szczegółami. Kiedy jednak począłem występować w roli terminatora, metoda notowania ukradkiem stała się bardzo uciążliwa, bo w naszych rozmowach poruszaliśmy wiele różnych zagadnień. Wówczas don Juan pozwolił mi – stanowczo jednak przeciwko temu protestując – zapisywać w sposób jawny wszystko, co mówiliśmy. Chętnie także zrobiłbym zdjęcia i nagrania, ale na to na pewno by mi nie zezwolił.

Początkowo miejscem mojego terminowania była Arizona, następnie zaś Sonora, ponieważ w trakcie pobierania przeze mnie nauk don Juan przeniósł się do Meksyku. Postępowałem w ten sposób, że starałem się możliwie jak najczęściej widywać się z nim po kilka dni z rzędu. Nasze spotkania stały się częstsze i trwały dłużej podczas letnich miesięcy w latach 1961, 1962, 1963 i 1964. Patrząc z perspektywy czasu, sądzę, że taka metoda odbywania praktyki zaszkodziła nauce, gdyż opóźniła osiągnięcie stanu pełnego zaangażowania, jaki umożliwiłby mi zostanie czarownikiem. Z osobistego jednak punktu widzenia metoda ta była o tyle korzystna, że stwarzała mi możliwość choćby minimalnego oderwania się, co z kolei sprzyjało rozwojowi zmysłu badawczego krytycyzmu, to zaś byłoby niemożliwe, gdyby moje uczestnictwo stało się ciągle. We wrześniu 1965 roku własnowolnie przerwałem terminowanie.

W kilka miesięcy po wycofaniu się nasunęła mi się po raz pierwszy myśl o tym, żeby w systematyczny sposób ułożyć swoje

robocze notatki. Zebrane przeze mnie dane były dość obszerne i obejmowały informacje najróżniejszego rodzaju, toteż zacząłem od próby stworzenia systemu klasyfikacji. Podzieliłem dane według powiązanych ze sobą pojęć i sposobów postępowania; wyodrębnione w ten sposób dziedziny ułożyłem hierarchicznie, odpowiednio do stopnia subiektywnego znaczenia, a więc stosownie do wpływu, jaki na mnie wywarły. Otrzymałem w ten sposób następującą klasyfikację: sposoby użycia roślin halucynogennych, techniki i formuły używane przez czarowników, sposoby zdobycia i posługiwanie się przedmiotami obdarzonymi mocą, sposoby użycia roślin leczniczych, pieśni i legendy.

Zastanawiając się nad zjawiskami, jakich doświadczyłem, uświadomiłem sobie, że moje wysiłki klasyfikacyjne dały w wyniku zaledwie inwentarz kategorii, wszelkie próby udoskonalenia mojego schematu musiałyby więc prowadzić tylko do powstania bardziej złożonego inwentarza. Nie o to mi chodziło. Podczas miesięcy, które nastąpiły po zaprzestaniu przeze mnie terminowania, odczułem potrzebę zrozumienia moich przeżyć i doświadczeń, które składały się na proces przekazywania mi za pomocą metod praktycznych i eksperymentalnych pewnego zwanego systemu wierzeń.

Od pierwszego spotkania, w którym uczestniczyłem, było dla mnie oczywiste, że nauki don Juana cechuje wewnętrzna spójność. Od momentu kiedy postanowił on przekazać mi swoją wiedzę, przystąpił do udzielania mi wyjaśnień w sposób uporządkowany. Odkrycie oraz zrozumienie porządku rządzącego tymi wyjaśnieniami okazało się zadaniem niesłychanie trudnym.

Tę niemożność zrozumienia trzeba chyba łączyć z faktem, że po czterech latach terminowania byłem wciąż początkującym. Wiedza don Juana oraz sposób jej przekazywania były z pewnością takie same jak jego „dobroczyńcy”, toteż trudności, jakie napotkałem w zrozumieniu jego nauk, musiały przypominać kłopoty samego don Juana. Don Juan napomynał o owej analogii, stwierdzając mimochodem, że jako początkujący terminator nie mógł zrozumieć swego nauczyciela. Uwagi te zrodziły we mnie przekonanie, że niesamowity charakter przeżyć doświadczanych przez początkujących, obojętne, czy byli, czy też nie byli Indianami, czynił wiedzę czarowników niezrozumiałą. Dla mnie, człowieka Zachodu, zja-

wiska te miały charakter tak osobliwy, że właściwie nie mogłem ich wyjaśnić w kategoriach codziennego życia, toteż musiałem dojść do wniosku, że wszelkie próby sklasyfikowania zebranych przeze mnie w terenie danych oparte na mej własnej terminologii są skazane na niepowodzenie.

Wówczas stało się dla mnie jasne, że wiedzę don Juana trzeba analizować w sposób zgodny z jego własnym rozumieniem tej wiedzy; inny sposób uczynienia jej oczywistą i przekonującą nie istnieje. Usiłując pogodzić z sobą poglądy don Juana i moje, uświadomiłem sobie, iż ilekroć próbował on wyjaśnić mi swą wiedzę, używał pojęć, które jemu samemu pozwoliły ją „zrozumieć”. Pojęcia te były dla mnie obce, toteż starania, by zrozumieć wiedzę don Juana na jego sposób, postawiły mnie w trudnej sytuacji. Moim zadaniem było więc przede wszystkim określenie sposobu, w jaki kategoryzuje on rzeczywistość. Pracując pod tym kątem, spostrzegłem, że sam don Juan kładł szczególny nacisk na określoną dziedzinę swych nauk – mianowicie na sposoby wykorzystania roślin halucynogennych. Opierając się na tym spostrzeżeniu, zrewidowałem swój schemat kategoryzacyjny.

Oddzielnie i przy różnych okazjach don Juan używał trzech roślin halucynogennych – pejotlu (*Lophophora williamsii*), liści bielunia (*Datura inoxia*, zwanego także *Datura meteloides*) oraz grzybów (być może *Psilocybe mexicana*). Halucynogenne właściwości tych trzech roślin znane były Indianom amerykańskim od czasów poprzedzających zetknięcie z Europejczykami. Ze względu na swe właściwości rośliny te znajdowały szerokie zastosowanie w leczeniu i w magii, dostarczając przyjemności i doprowadzając do stanu ekstazy. W konkretnym kontekście swych nauk don Juan wiązał użycie *Datura inoxia* i *Psilocybe mexicana* ze zdobyciem mocy, której uosobienie nazywał „sprzymierzeńcem”. Użycie *Lophophora williamsii* wiązał natomiast ze zdobyciem mądrości, czyli poznaniem właściwego sposobu życia.

Rośliny te były dla don Juana ważne dlatego, że posiadały zdolność wywoływania u człowieka stanów osobliwej percepcji. Pod jego przewodnictwem doświadczyłem serii takich stanów, dzięki czemu wiedza don Juana odsłoniła się przede mną i potwierdziła. Nazwałem je „stanami niezwyklej rzeczywistości”, mając na

myśli przeciwieństwo do zwykłej rzeczywistości codziennego życia. Podział ten opiera się na znaczeniu wpisanym w stany rzeczywistości niezwykłej. W kontekście wiedzy don Juana należało je uznać za realne, choć realność ta różniła się od realności zwyczajnej.

Don Juan uważał, że stany rzeczywistości niezwykłej są jedyną formą praktycznego poznania i jedynym środkiem zdobycia mocy. Dawał do zrozumienia, iż inne składniki jego nauk wiążą się ze zdobyciem mocy jako celem zasadniczym. Perspektywa ta przenikała stosunek don Juana do wszystkiego, co nie wiązało się bezpośrednio ze stanami rzeczywistości niezwykłej. Moje notatki terenowe usiane są odniesieniami do odczuć don Juana. W jednej z rozmów wspomina on na przykład, że niektóre przedmioty zawierają w sobie pewną ilość mocy. Sam nie darzył takich przedmiotów szacunkiem, ale stwierdził, że pomniejsi *brujos* korzystają często z ich pomocy. Pytałem go często o te przedmioty, ale wydawało się, iż nie ma najmniejszej ochoty na rozprawianie o nich. Kiedy jednak przy kolejnej okazji temat ten znów się pojawił, zgodził się, acz z niechęcią, o nich pomówić.

– Istnieją pewne przedmioty nasycone mocą – powiedział. – Są ich dziesiątki, a potężni ludzie sprawują nad nimi pieczę przy pomocy przyjaznych duchów. Te przedmioty to instrumenty, ale nie zwykłe instrumenty, tylko instrumenty śmierci. Są to jednak tylko narzędzia; nie posiadają mocy nauczania. Ściśle mówiąc, należy je zaliczyć do przedmiotów wojennych służących do walki, do zabijania, do miotania.

– Co to za przedmioty, don Juanie?

– Właściwie to nie są przedmioty, tylko typy mocy.

– W jaki sposób można je zdobyć?

– To zależy od rodzaju przedmiotu, jakiego potrzebujesz.

– Ile jest tych rodzajów?

– Powiedziałem już, że są ich dziesiątki, wszystko może być przedmiotem nasyconym mocą.

– A które są najpotężniejsze?

– Moc przedmiotu zależy od jego posiadacza, od tego, jaki jest to człowiek. Taki przedmiot w rękach drobnego *brujo* to prawie kpi-na, natomiast silny, potężny *brujo* daje siłę swoim instrumentom.

– Jakie zatem przedmioty występują najczęściej? Którym z nich *brujos* przyznają pierwszeństwo?

– Żadnym. Wszystkie posiadają moc, są takie same.

– Ty też jakieś posiadasz, don Juanie?

Nie odpowiedział, spojrzał tylko na mnie i roześmiał się. Przez dłuższą chwilę milczał, i pomyślałem, że drażnię go swoimi pytaniami.

– Na te różne typy mocy nałożone są ograniczenia – ciągnął dalej. – Ale jestem pewny, że to musi być dla ciebie nie do pojęcia. Upłynęło niemal całe moje życie, nim zrozumiałem, że sprzymierzeniec może sam przez się ujawnić wszelkie sekrety tych mniejszych mocy, odbierając im sporo powagi. Kiedyś, we wczesnej młodości, miałem takie przybory.

– Jakie to były przedmioty?

– *Maíz-pinto*, kryształ i pióra.

– Co to jest *maíz-pinto*?

– Ziarenko kukurydzy z pasemkiem czerwieni pośrodku.

– Jedno ziarenko?

– Nie. *Brujo* ma ich czterdzieści osiem.

– Do czego one służą, don Juanie?

– Każde może uśmiercić człowieka, przenikając do jego ciała.

– W jaki sposób może ono przeniknąć do ciała?

– To jest przedmiot nasycony mocą, która polega między innymi na tym, że przenika on do ciała.

– Co się z nim dzieje, kiedy przenika do ciała?

– Zagłębia się w nie, osiada na piersi lub w jelitach. Człowiek zaczyna chorować i jeśli *brujo*, który go pielęgnuje, jest słabszy od czarownika, w ciągu trzech miesięcy od przeniknięcia ziarenka do ciała następuje śmierć.

– Istnieje jakiś sposób, żeby go wyleczyć?

– Tylko jeden: wyssać ziarenko, ale mało którego *brujo* stać na taką odwagę. Może mu się udać wyssać ziarenko, ale jeśli zabraknie mu siły, żeby je odtrącić, przeniknie do jego wnętrza i zabije go zamiast tamtego.

– Ale w jaki sposób udaje się ziarenku dostać do ludzkiego ciała?

– Żeby ci to wyjaśnić, muszę opowiedzieć o czarach przy użyciu kukurydzy, od których nie znam potężniejszych. Czaruje się dwoma ziarenkami. Jedno wkłada się do świeżego pąka żółtego kwiatu. Kwiatek umieszcza się następnie w miejscu, gdzie zetknie się z nim ofiara: na drodze, którą codziennie przemierza, lub tam, gdzie zwykle przebywa. Wystarczy, że ofiara nastąpi na ziarenko lub zetknie się z nim w jakikolwiek sposób, a czar zaczyna działać. Ziarenko zagłębia się w ciało.

– Co się z nim dzieje od momentu dotknięcia go przez człowieka?

– Cała zawarta w nim moc wstępuje w człowieka, ziarenko odzyskuje wolność, stając się zwykłym ziarenkiem. Może pozostać na miejscu, gdzie dokonały się czary, lub zostać zmiecione, nieważne. Lepiej zmieść je w zarośla, gdzie je zje jakiś ptak.

– Czy ptak może je zjeść, nim dotknie je człowiek?

– Nie, zapewniam cię, że żaden ptak nie jest taki durny. Ptaki się go wystrzegają.

Następnie don Juan opisał bardzo skomplikowany sposób otrzymywania owych zawierających moc ziarenek.

– Trzeba pamiętać, że *maíz-pinto* to tylko narzędzie, a nie sprzymierzeniec – powiedział. – Wprowadziwszy to rozróżnienie, nie będziesz miał żadnych problemów. Jeśli jednak uznasz przybory tego rodzaju za najważniejsze, okażesz się głupcem.

– Czy te przedmioty są tak samo potężne jak sprzymierzeniec?

Don Juan zaśmiał się pogardliwie, nim odpowiedział. Wyglądało na to, że bardzo się starał zachować cierpliwość.

– W porównaniu ze sprzymierzeńcem *maíz-pinto* kryształ i pióra to dziecinne zabawki. Są one potrzebne tylko wówczas, gdy człowiek nie ma sprzymierzeńca. Uganiać się za nimi to strata czasu, zwłaszcza w twoim wypadku. Powinieneś starać się pozyskać sprzymierzeńca; gdy ci się to uda, zrozumiesz, o czym teraz mówię. Przedmioty obdarzone mocą to jakby dziecinna zabawa.

– To nie tak, don Juanie – zaprotestowałem. – Chcę mieć sprzymierzeńca, ale chcę także wiedzieć wszystko, co możliwe. Sam mówiłeś, że wiedza to potęga.

– Nie, nie! – powiedział z naciskiem. – Moc zależy od tego, jakiego rodzaju wiedzę się posiada. Po cóż poznawać rzeczy bezużyteczne?

W systemie wierzeń don Juana zdobycie sprzymierzeńca oznaczało wyłącznie wykorzystanie stanów rzeczywistości niezwyklej, jakie wywoływał on u mnie za sprawą roślin halucynogennych. Uważał, że koncentrując się na tych stanach oraz pomijając inne aspekty wiedzy, jaką mi przekazywał, wyrobię sobie spójny pogląd na doświadczane przeze mnie zjawiska.

Podzieliłem przeto tę książkę na dwie części. W pierwszej przedstawiam wybór fragmentów mych notatek roboczych odnoszących się do stanów rzeczywistości niezwyklej, jakich doświadczyłem podczas terminowania. Ponieważ ułożyłem moje notatki w ten sposób, by nie zakłócały ciągłości narracji, ich chronologiczny porządek bywa niekiedy naruszony. Przystępowałem do opisu stanu rzeczywistości niezwyklej zawsze dopiero w kilka dni po jego przeżyciu, gdyż czekałem, aż będę w stanie potraktować to doświadczenie beznamiętnie i obiektywnie. Jednakże moje rozmowy z don Juanem zapisywałem na bieżąco, natychmiast po doświadczeniu stanu rzeczywistości niezwyklej; dlatego relacje z owych rozmów wyprzedzają niekiedy pełny opis przeżycia.

Notatki terenowe ukazują subiektywną wersję tego, co postrzegałem w trakcie doznawania rzeczywistości niezwyklej. Wersja ta została tu przedstawiona w formie, w jakiej relacjonowałem ją don Juanowi, który żądał ode mnie dokładnego i wiernego przypomnienia sobie każdego szczegółu oraz wyczerpującej opowieści o każdym doznaniu. Podczas zapisywania owych doznań dodawałem mniej ważne szczegóły, dążąc do całkowitego odtworzenia tła poszczególnych stanów rzeczywistości niezwyklej. Pragnąłem opisać możliwie jak najdokładniej moje reakcje emocjonalne.

Moje notatki robocze przedstawiają również treść systemu wierzeń don Juana. Chcąc uniknąć typowych dla rozmowy powtórzeń, skondensowałem wielostronicowe wymiany pytań i odpowiedzi pomiędzy mną a don Juanem.

Ponieważ jednak chciałem zarazem oddać ogólną atmosferę naszych rozmów, usunąłem jedynie te dialogi, które nie wносиły niczego nowego do mego rozumienia wiedzy don Juana. On bo-

wiem z rzadka udzielał mi informacji na ten temat; musiałem sondować go godzinami. Ale i tak swobodnie wykladał swą wiedzę przy niezliczonych okazjach.

W drugiej części przedstawiam analizę strukturalną przeprowadzoną wyłącznie na podstawie danych, o których mowa w części pierwszej. Analiza ta ma na celu wsparcie następujących twierdzeń:

- 1) don Juan prezentuje swe nauki w formie logicznego systemu,
- 2) system ten nabiera sensu jedynie wówczas, gdy bada się go pod kątem tworzących go jednostek strukturalnych, oraz
- 3) system ten ma na celu doprowadzenie ucznia do poziomu konceptualizacji wyjaśniającej rodzaj doświadczanych przezeń zjawisk.

CZĘŚĆ PIERWSZA NAUKI

Notatki z pierwszej sesji, jaką odbyłem z don Juanem, noszą datę 23 czerwca 1961 roku. Wówczas to rozpoczęła się moja nauka. Wcześniej spotkałem się z nim kilkakrotnie, ale jedynie jako obserwator. Za każdym razem prosiłem go, by uczył mnie o pejotlu. Ignorował zawsze moją prośbę, nigdy jednak nie porzucał tego tematu całkowicie, a ja dopatrywałem się w jego wahaniu znaku, że być może większymi pochlebstwami dałoby się go nakłonić do mówienia.

Na sesji rozpoczętej 23 czerwca dał wyraźnie do zrozumienia, że mógłby uwzględnić moją prośbę pod warunkiem, że zachowam jasność umysłu i nie zapomnę, do czego zmierzam. Nie byłem w stanie spełnić takiego warunku, ponieważ poprosiłem go, by uczył mnie o pejotlu, mając na celu jedynie nawiązanie pomiędzy nami nici porozumienia. Sądziłem, iż znajomość tego tematu może sprawić, że będzie mówił chętniej i bardziej otwarcie, dzięki czemu znajdę dostęp do jego wiedzy o właściwościach roślin halucynogennych. Tymczasem don Juan zrozumiał moją prośbę dosłownie i zainteresował się, dlaczego zapragnąłem posiąść wiedzę o pejotlu.

Piątek, 23 czerwca 1961

- Będziesz mnie uczył o pejotlu, don Juanie?
- A czemu chciałbyś rozpocząć taką naukę?
- Naprawdę chciałbym zdobyć wiedzę o pejotlu. Czy samo pragnienie wiedzy nie jest wystarczającym powodem?
- Nie! Trzeba, żebyś poszukał we własnym sercu odpowiedzi na pytanie, dlaczego młodzieniec, jakim jesteś, pragnie podjąć się trudu nauki.
- A ty czemu uczyłeś się o pejotlu, don Juanie?
- Dlaczego o to pytasz?
- Bo może powód był ten sam.

– Wątpię. Ja jestem Indianinem. Kroczymy po różnych ścieżkach.

– Jest tylko jeden powód: chcę się uczyć o pejotlu, chcę wiedzieć. Ale zapewniam cię, don Juanie, że nie mam złych zamiarów.

– Wierzę ci. Dym mi o tym powiedział.

– Proszę?

– Nieważne. Znam twoje zamiary.

– Chcesz powiedzieć, że mnie przejrzałeś?

– Można to i tak wyrazić.

– Więc będziesz mnie uczył?

– Nie!

– Bo nie jestem Indianinem?

– Nie. Bo nie znasz swego serca. Ważne jest to, żebyś dokładnie wiedział, dlaczego chcesz się tym zająć. Poznawanie Mescalito to sprawa szalenie poważna. Gdybyś był Indianinem, wystarczyłoby samo twoje pragnienie. Indianie odczuwają je bardzo rzadko.

Niedziela, 25 czerwca 1961

Spędziłem z don Juanem całe piątkowe popołudnie. Zamierzałem odjechać około siódmej wieczorem. Siedzieliśmy na werandzie przed domem don Juana i postanowiłem raz jeszcze zagadnąć go o naukę. Stało się to niemal czynnością rutynową i spodziewałem się, że znów odmówi. Spytałem, czy istnieje sposób, który pozwoliłby mu zaakceptować moje pragnienie wiedzy, jakbym był Indianinem.

Upłynęło sporo czasu, nim odpowiedział. Musiałem zostać i czekać, bo wyglądało na to, że próbuje coś rozstrzygnąć.

Wreszcie odrzekł, że pewien sposób istnieje, i przystąpił do nakreślenia zadania. Stwierdził, że jestem bardzo zmęczony siedzeniem na podłodze i że trzeba, abym znalazł takie „miejsce” [*sitio*], gdzie siedząc, nie odczuwałbym znużenia. Przez cały czas siedziałem z kolanami podciągniętymi pod brodę i rękami splecionymi wokół łydek. Kiedy wspomniał o moim zmęczeniu, poczułem, że bolą mnie plecy i że jestem zupełnie wyczerpany.

Czekałem, żeby wyjaśnić, co rozumie przez „miejsce”, ale nie zadał sobie najmniejszego trudu, żeby rozjaśnić tę kwestię. Po-

myślałem, że może chodzi mu o to, żebym zmienił pozycję, toteż wstałem i usiadłem bliżej niego. Zaprotestował, stwierdzając jasno, że miał na myśli miejsce, gdzie człowiek w naturalny sposób czuje się zadowolony i silny. Poklepał podłogę tam, gdzie siedział, mówiąc, że to właśnie jest jego miejsce, i dodał, że postawioną przez niego zagadkę muszę rozwiązać sam, zabierając się od razu do dzieła.

Zadanie, które mi postawił, było prawdziwą łamigłówką. Nie miałem pojęcia, jak się do tego zabrać, nie wiedziałem nawet, o co mu chodzi. Kilkakrotnie prosiłem o wskazówkę, choćby najdrobniejszą, która pomogłaby mi w ustaleniu punktu, gdzie czułbym się zadowolony i silny. Dowodziłem z uporem, że nie mam pojęcia, o co mu naprawdę chodzi, ponieważ nie rozumiem postawionego mi zadania. Poradził mi, żebym krążył po werandzie tak długo, aż znajdę owo miejsce.

Wstałem i zacząłem krążyć po podłodze. Poczułem się idiotycznie i usiadłem naprzeciw don Juana.

Bardzo się na mnie rozgniewał i zarzucił mi, że go nie słucham, dodając, że być może odechciało mi się nauki. Po chwili uspokoił się i wyjaśnił mi, że nie wszędzie siedzi się lub przebywa jednakowo dobrze, gdzieś na werandzie istnieje jedyne w swoim rodzaju miejsce, gdzie czułbym się lepiej niż gdziekolwiek indziej. Moje zadanie polegało na tym, żeby odnaleźć to miejsce. Sposób postępowania był najogólniej taki, że powinienem „wczuwać się” we wszystkie dostępne punkty powierzchni werandy, dopóki nie będę mógł stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że odnalazłem ów właściwy.

Odparłem na to, że jakkolwiek weranda nie jest zbyt obszerna (12 x 8 stóp), liczba ewentualnych „miejsc” jest kolosalna; toteż sprawdzenie ich potrwałoby niezmiernie długo, tym bardziej że liczba możliwości jest właściwie nieograniczona, bo nie określił rozmiarów tego punktu. Daremne były moje wywody, don Juan wstał z podłogi i przestrzegł mnie surowo, że poszukiwania mogą mi zająć wiele godzin, nawet dni, ale jeśli nie rozwiążę zadania, mogę od razu wracać do domu, bo nie będzie mi miał nic do powiedzenia. Podkreślił, że wie, gdzie znajduje się moje miejsce, dlatego nie będę mógł go okłamać; stwierdził także, że tylko w ten

sposób mógłby uznać za uzasadnione moje pragnienie poznania Mescalito. Dodał, że na tym świecie nie ma nic za darmo, a nauka wszystkiego, co jest do nauczenia, musi być trudna.

Poszedł za dom do chaparralu oddać mocz. Wszedł do wnętrza domu tylnym wejściem.

Pomyślałem, że polecenie odszukania rzekomego miejsca szczęśliwości jest w istocie sposobem na pozbycie się mnie, ale podniosłem się i zacząłem przemierzać werandę tam i z powrotem. Niebo było jasne i czyste. Doskonale widziałem całą werandę, ale i jej okolice. Szukałem chyba ponad godzinę, ale nie stało się nic, co pozwoliłoby mi zlokalizować owo miejsce. Zmęczyłem się chodzeniem i usiadłem, po paru minutach przesiadłem się w inne miejsce, później w jeszcze inne, aż w sposób dość systematyczny zbadałem całą powierzchnię podłogi. Usiłowałem „wyczuwać” różnice pomiędzy poszczególnymi miejscami, ale brakowało mi kryteriów rozróżniania.

Miałem poczucie, że marnuję czas, ale nie ustawałem. Zracjonalizowałem to sobie w ten sposób, że odbyłem daleką podróż po to, żeby zobaczyć się z don Juanem, i nie mam nic innego do roboty.

Położyłem się na plecach i podłożyłem dłonie pod głowę niczym poduszkę. Następnie przewróciłem się na brzuch i leżałem tak przez chwilę. Tę metodę z przewracaniem się z pleców na brzuch powtórzyłem, przetaczając się po całej podłodze. Po raz pierwszy natknąłem się jakby na cień kryterium. Było mi ciepłej, kiedy leżałem na plecach.

Zacząłem przetaczać się znowu, tym razem w przeciwnym kierunku, przemierzając ponownie całą powierzchnię i kładąc się twarzą do podłogi wszędzie tam, gdzie podczas pierwszej tury kładłem się twarzą do sufitu. Doznawałem tych samych wrażeń zimna i ciepła – w zależności od pozycji – ale poza tym nie występowały żadne różnice.

Wówczas wpadłem na myśl, która wydała mi się genialna: miejsce don Juana! Usiadłem na nim, a potem położyłem się, najpierw twarzą do podłogi, później na plecach, ale miejsce niczym nie różniło się od pozostałych. Wstałem. Miałem dosyć. Chciałem pożegnać się z don Juanem, ale krępowałem się go budzić. Spojrza-

łem na zegarek. Druga w nocy! Turlałem się po podłodze przez sześć godzin.

W tej samej chwili pojawił się don Juan i skierował się za dom do chaparralu. Wróciwszy, stanął w drzwiach. Poczulem całkowite zniechęcenie; miałem ochotę powiedzieć mu coś paskudnego i odjechać. Uświadomiłem sobie jednak, że to nie jego wina; to ja sam zdecydowałem się na ten cały absurd. Powiedziałem mu, że nie dałem rady – przez całą noc turlałem się po podłodze jak kretyn i dalej nie potrafię dopatrzeć się w jego zagadce żadnego sensu.

Roześmiał się i odpowiedział, że go to nie dziwi, bo obrałem nieprawidłowy sposób postępowania. Nie używałem oczu. To prawda, tylko że byłem absolutnie pewny, iż don Juan polecił mi wyczuć różnicę. Powiedziałem o tym, ale twierdził, że można czuć oczyma, gdy nie wpatrują się one prosto w przedmiot. Co do mnie – mówił – nie miałem innego sposobu rozwiązania tej zagadki prócz użycia jedyne go dostępnego mi środka – mych oczu.

Wszedł do domu. Byłem przekonany, że mnie cały czas obserwował. Sądziłem, iż tylko w ten sposób mógł się dowiedzieć, że nie używałem oczu.

Znów zacząłem się turlać, była to bowiem najwygodniejsza metoda. Tym razem jednak, wsparłszy podbródek na dłoniach, przyglądałem się każdemu szczegółowi.

Po upływie pewnego czasu w otaczającej mnie ciemności nastąpiła zmiana. Kiedy skupiłem wzrok na punkcie znajdującym się bezpośrednio przede mną, całe moje pole widzenia rozjarzyło się na obrzeżach jednolitym zielonkawożółtym kolorem. Skutek był oszałamiający. Ze wzrokiem utkwionym w punkt przede mną zacząłem czołgać się ukosem na brzuchu, małymi odcinkami długości około jednej stopy.

Nagle, prawie na środku podłogi, uświadomiłem sobie kolejną zmianę zabarwienia. W punkcie położonym na prawo ode mnie – wciąż na obrzeżu mego pola widzenia – kolor zielonkawożółty zamienił się w intensywny fiolet. Całą uwagę skupiłem na tym miejscu. Fiolet, choć zbladł, wciąż jarzył się jednostajnym blaskiem, gdy się w niego wpatrywałem.

Oznaczywszy owo miejsce swoją kurtką, zawołałem don Juana. Wyszedł na werandę. Ogarnęło mnie prawdziwe podniecenie – rze-

czywiście dostrzegłem zmianę kolorów. Wydawało się, że nie zrobiło to na nim szczególnego wrażenia, ale polecił mi usiąść w owym miejscu i opowiedzieć mi o swoich wrażeniach.

Usiadłem, potem zaś położyłem się na plecach. Stojąc nieopodal, ponawiał pytanie o moje samopoczucie, nie odczuwałem jednak żadnej różnicy. Usiłowałem poczuć ją lub spostrzec przez mniej więcej piętnaście minut, w czym don Juan cierpliwie mi towarzyszył. Miałem dość. W ustach poczułem metaliczny posmak. Nagle rozbolała mnie głowa. Zbierało mi się na wymioty. Myśl o moich absurdalnych wysiłkach doprowadzała mnie do szewskiej pasji. Wstałem.

Don Juan zauważył widocznie moją desperację. Bez cienia uśmiechu oświadczył z wielką powagą, że muszę być wobec siebie nieugięty, jeśli chcę się czegoś nauczyć. Mam tylko dwie możliwości – ciągnął – zrezygnować i wracać do domu, wówczas nie nauczę się nigdy, albo rozwiązać zagadkę.

Ponownie wszedł do środka. Chciałem natychmiast odjechać, ale byłem zbyt zmęczony, żeby prowadzić, a poza tym dostrzeżenie kolorów było tak zdumiewające, że z pewnością musiało stanowić swoiste kryterium, może należało odkryć jakieś inne zmiany. Na odjazd było zresztą za późno. A zatem usiadłem, wyprostowałem nogi i zacząłem wszystko od początku.

Podczas tej rundy przetaczałem się szybko przez całą podłogę – omijając miejsce don Juana – a następnie zacząłem posuwać się w drugą stronę. Kiedy znalazłem się na środku, spostrzegłem kolejną zmianę zabarwienia, również na skraju mego pola widzenia. Jednolity zielonożółty kolor likieru chartreuse zamienił się w jednym punkcie na prawo ode mnie w ostry kolor grynszpanu. Trwało to jakiś czas, po czym nastąpiła nagle metamorfoza w kolejny ustalony kolor, różniący się od wcześniej przeze mnie odkrytego. Ściągnąłem but, żeby oznaczyć to miejsce, po czym przetaczałem się dalej po całej podłodze, aż przemierzyłem ją we wszystkich możliwych kierunkach. Żadna inna zmiana zabarwienia nie nastąpiła.

Powróciłem do miejsca oznaczonego butem i zbadałem je. Znajdowało się w odległości pięciu-sześciu stóp od miejsca oznaczonego kurtką, w kierunku południowo-wschodnim. Nieopodal